

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Kongresy mniejszości narodowych.

Często się spotyka ze zdaniem, że kongresy mniejszości narodowych, odbywające się corocznie w Genewie nie mają żadnego znaczenia i są tylko niepotrzebnym marnowaniem czasu i energii. Ten skrajnie sceptyczny pogląd panuje zwłaszcza w prasie polskiej. Jednakże uczestnicy kongresów genewskich mają inne przekonanie o wartości swej akcji i nie uważają jej bynajmniej za jałową.

Wskazują oni mianowicie—i to z całą słuszością—na fakt, że kongresom mniejszości narodowych w dużym stopniu udało się przekonać opinię publiczną, iż bezwzględny warunkiem pokoju światowego, zbliżenia i zrzeszenia narodów i państw w formie uniwersalnego paktu Kelloga lub paneuropejskiego projektu Brianda jest wewnętrzna pacyfikacja państw przez zaspokojenie potrzeb i praw mniejszości narodowych.

Wyrazem powyższej kategorii sukcesów są objawy wzajemnego zbliżania się narodowości i wspólnego interesu, polegającego na udzielaniu coraz większych praw mniejszościom w poszczególnych państwach. Dlatego też dana mniejszość chcąc mieć polityczną i moralną możliwość skuteczniejszej walki o prawa w swoim państwie interwenjuje na rzecz innej mniejszości w drugim państwie, gdzie jej naród stanowi większość. A takich wypadków było kilka. I tak np. należy podobnemu wpływowi zawdzięczyć prawa kulturalne, jakie otrzymała mniejszość słoweńska w Karyntji, pod tym samym wpływem rząd pruski, choć należy do państw niezobowiązanych traktatami mniejszościowemi, dobrowolnie wydał tzw. ustawę szkolną na rzecz swoich mniejszości szczególnie polskiej, wiedząc, że tylko w ten sposób otwiera widoki dla licznych mniejszości niemieckich w innych państwach. Zdajemy sobie sprawę chyba, że rozwój tych pojęć i uczuć prowadzić musi w konsekwencji do zlagodzenia antagonizmów sąsiadują-

cych państw, które częstokroć są wywoływane lub przynajmniej podsycane żalami uciskanych lub ignorowanych mniejszości. Kongresy narodowościowe dążą przeto i dążyć muszą zawsze do tego, by wytworzyć solidarność mniejszości nie będących na pasku ich „większościowych” braci państwowych, lecz przeciwnie zmuszających swych szczęśliwych braci do sprawiedliwości i pokoju. Trudno powiedzieć w jakim stopniu uzasadnione są zarzuty, że mniejszości niemieckie starają się w Genewie działać w myśl rozkazów Berlina, albo, że secesja mniejszości polskich jest raczej spowodowana względami wyższej dyplomacji. Nie ulega wątpliwości, że kongres mniejszości takie tendencje kategorycznie by odrzucił, bo sprzeczne są one bezwzględnie z interesami mniejszości i ich organizacji światowej.

Kongres tegoroczny załatwił po wielu rozważaniach i wątpliwościach sprawę organizacji i statutu tego zrzeszenia międzynarodowego. Szło bowiem o to, by ustalić warunki przyjęcia nowych mniejszości wzgl. ustalenie naukowe i socjologiczne charakteru narodowościowego jakiejś odrębnej grupy etnicznej. Aby zrozumieć, jak ciężką i skomplikowaną jest ta sprawa, należy przypomnieć, że secesja mniejszości polskiej jak i grupy duńskiej i serbo-łużyckiej z Niemiec nastąpiła bezpośrednio z powodu nieprzyjęcia grupy fryzyjskiej (Wendów niem.). Wedle statutu mogą być przyjęte prócz narodowości licznych i notorycznych, te małe i nowe, których przynajmniej połowa ludności wyrazi swą wolę w kierunku odrębności narodowej i przystąpienia do kongresu.

Myśl narodowa ma już jednak i swoje triumfy. O Karyntji i Prusach już mówiliśmy. Łotwa i Estonia wprowadziły w życie szeroką autonomię dla swych mniejszości, przekraczającą w znacznym stopniu zobowiązania dekretowe. Ciekawy jest rozwój stosunków w dziedzinie praw i kultury mniejszościowej w Belgji i w Anglii. W Czechosłowacji widzimy od kilku lat nawet kondominjum polityczne

różnych narodowości, co Niemcy czeszy na zeszłym rocznym kongresie genewskim sami z wielkiem uznaniem podkreślili.

Najważniejszym rezultatem tych kongresów jest fakt coraz większego zainteresowania się problemami narodowościowymi przez organizacje i czynniki międzynarodowe.

Zjazdy Unji międzyparlamentarnej — Kongresy Związków przyjaciół Ligi Narodów, konferencje Międzynarodówki Socjalistycznej i t. p. zmuszone są stale poświęcać dużo czasu i uwagi problemom narodowościowym i zajmować się postulatami i uchwałami kongresów genewskich.

Pod wpływem tej opinii publicznej — tego „sumienia“ europejskiego i Liga Narodów nie mogła dłużej ignorować tych spraw, których dla ich delikatności dotąd starannie unikała.

Narady Ligi w 1928 r. w Genewie, głośny incydent pięściowy w Lugano (Stresemann — Zaleski), wybór komisji trzech dla sprawy mniejszościowej i uchwały Rady Ligi Narodów w Madrycie są ważnym przełomem w taktyce Ligi wobec problemów i interesów mniejszości narodowych, powierzonych jej pieczy na podstawie traktatów międzynarodowych. Zainteresowane państwa i narody rozumieją, że z powodu całego szeregu przyczyn dalsze ignorowanie sprawy narodowościowej staje się coraz bardziej niemożliwe i że procedura międzynarodowej kontroli obrony praw i interesów mniejszości narod. będzie musiała być coraz bardziej doskonałą i realną.

Liga Narodów już zrobiła pierwszy krok ku zmianie swej procedury, a obecne Zgromadzenie Ligi poraz pierwszy włączyło do swego programu

obrad sprawozdanie z faktycznego położenia mniejszości w poszczególnych państwach.

Tak tedy historia kongresów genewskich bynajmniej nie jest pustą i beztreściwą.

Niełożona recepta.

Dziecko wie, że w każdej chorobie lekarz przede wszystkim zwraca uwagę na warunki higieniczne: dobre powietrze, stosowne odżywianie się, staranne pielęgnowanie chorego są to zasadnicze warunki, bez zachowania których nie może być mowy o pomyslniej kuracji. Rzadko jednak środki te wystarczają same przez się, by pokonać chorobę, zwłaszcza, jeżeli cierpienie jest bardziej skomplikowane. Zwykle potrzebne jest ponadto stosowanie różnych innych zabiegów leczniczych, a nieraz tylko operacja może uratować dotknięty chorobą organizm.

Zagadnienie mniejszości narodowych jest właśnie takim ciężkim niedomaganiem państwa polskiego, które wymaga nader umiejętnej terapii i które nie daje się usunąć za pomocą medycyny domowej. A jednak nie brak w Polsce lekarzy, którzy są przekonani, że jest to tylko lekka dolegliwość, na którą nie warto zwracać uwagi lub też której można z łatwością się pozbyć, zachowując odpowiedni higieniczny *régime*. Do tej ostatniej kategorii należy niepodpisany autor długiego artykułu p. t. „Białorusini“, zamieszczonego w „Gazecie Polskiej“, a przedrukowanego następnie przez „Kurjer Wileński“. Z krótkiego komentarza redakcyjnego można wywnioskować, że artykuł wyszedł z pod pióra tego samego autora, którego w zeszłym numerze nazwaliśmy „Heroldem radosnej twórczości“ i który poprzednie swe spostrzeżenia o „Kresach“ podpisał inicjałami T. H.

Do artykułu tego redakcja „Kurjera Wileńskiego“ przywiązuje specjalną wagę dopatrując się w nim „odzwierciedlenia poglądów miarodajnych sfer rzą-

LAZDYNU PELEDA.

Ku szczęściu.

(Przełożył z litewskiego W. Zaleski).

Nadeszła późna jesień. Obmarzły pola, bydło nie miało na czem się paść, trzeba było rozpocząć zimowy tryb życia, gospodarz przeto postanowił Jaśka zwolnić.

Związał Jasiek do węzła całą swoją pensję — pięć rubli, na wierzch owinął jeszcze jednym gałgankiem, wsadził w zanadrze, na plecy założył torbę z gościńcem, który się zazwyczaj daje przy zwolnieniu, pożegnał się z gospodarzami i wyruszył w drogę.

Sunie Jasiek prędko, rozbryzgując błoto. Co mu tam! Ani ostrego wiatru się nie boi, ani zimna nie czuje; nogi same go niosą.

Po niejakiem czasie zwolnił kroku, przystanął, otarł rękawem spocone czoło i popatrzał za siebie: ot, ni z tego, ni z owego smutna myśl się do serca wkradła; w oczach zabłysły łzy.

— Kto tam na mnie czeka?

I oto przypomniały się Jaśkowi oddzielne zda-

rzenia z dni wczesnego dzieciństwa, i począł sam siebie pytać.

— Czemu matula, gdy dawała mi jaki kęs to zawsze ukrywała się z tem przed tatką?

— Masz, Jasieńku, — mówiła, gdy pędził bydło na paszę, wsuwając mu do kieszeni kawałek sera. — Będzie ci się jeść chciało. Patrz tylko, aby tatko nie zobaczył. — Poglądzi po głowie, westchnie: — Och, Jasieńku, jakie ty masz odzienie porwane...

Albo, gdy wróci zmarznięty, nigdy nie każe ani kartofli naskrobać, ani gałęzi przynieść.

— Leż, Jasieńku, na piecl! Poleż sobie.

A gdy wlezie, to zaraz matka przynosi czegośkolwiek w miseczce.

— Cyt... tatko...

Jasiek dech wstrzyma i leży na piecu, jak zając pod jodłą, a matula przysunie się bliżej i nuci jaką piosnkę półgłosem...

Czemu drugich dzieci nie ukrywa matula przed tatką? Czemu tatko ich i przytuli do siebie, i pogładzi? Franka nawet na kolana weźmie, pohańta. Tylko dla niego jednego dobrego słowa nigdy nie było. Burknie tylko, a gdy mu choć trochę Jaśko nie dogodzi, to zaraz grzmotnie w kark, że aż wątroba jęknie.

dowych". Nasuwa się tu pytanie, kto reprezentuje owe miarodajne sfery rządowe i czy posiadają one wogóle jakiś określony pogląd na zagadnienie białoruskie? Na pierwsze pytanie nie trudno odpowiedzieć w teorii, ale wiemy wszyscy, że w praktyce czynnikami decydującym są nie kierownicy nawy państwowej, lecz siły wykonawcze, które nieraz bardzo swoiście interpretują programy premierów, a nawet poszczególnych ministrów. W sprawach narodowościowych zresztą żaden z gabinetów pomajowych nie zajął dotąd wyraźnego stanowiska, a nie zanosi się na to, by w tym kierunku zaszła zmiana na lepsze, skoro nawet specjaliści w tej dziedzinie, do których niewątpliwie zalicza się autor artykułu „Białorusini“, występują z radami, przypominającymi zalecenia pocziwych eskulapów starej daty, co to w mocnym pożywnym rosółku z kury upatrują najbardziej skuteczne remedjum.

Czyż nie jest bowiem takim typowym rosółkiem ogólny wniosek z rozważań domniemanego p. T. H., który się sprowadza do następującej niezłożonej recepty: państwo powinno przyjąć ludności białoruskiej z pomocą materialną i z życzliwością traktować jej potrzeby narodowo-kulturalne. Sparaliżuje się wówczas z powodzeniem wpływy maksymalizmu społecznego i politycznego.

Czyż jest to program poważny i głęboki?

Nie ulega wątpliwości, że prace komasacyjne i meljoracyjne przeprowadzone na wielką skalę mogą polepszyć w pewnym stopniu sytuację ekonomiczną wioski białoruskiej, ale 1) wymaga to ogromnych środków finansowych, których, jak sam autor przyznaje, młode państwo polskie, na dorobku nie posiada i 2) nie usunie to głodu ziemi, dającego się coraz bardziej we znaki wskutek wzrastającego przeludnienia i nie rozwiąże kwestji małorolnych i bezrolnych, wśród których właśnie komunizujący radykalizm znajduje chętnych adeptów.

Również życzliwe traktowanie przez administrację ruchu kulturalnego białoruskiego bezwątpienia może złagodzić niechętny stosunek mas białoruskich, a przede wszystkim ich przywódców z obo-

zu narodowego do państwowości polskiej, może wpłynąć na wytworzenie warunków znośnego współżycia, ale nie rozstrzyga zasadniczego zagadnienia białoruskiego, które na wzór ukraińskiego, chociaż w słabszym o wiele stopniu, ma charakter międzynarodowy ze względu na rozbiór Białorusi, dokonany przez traktat ryski.

Niedość jest zapewnić Białorusinom stanowisko współgospodarzy kraju, zupełne równouprawnienie i swobodę rozwoju narodowego — to są tylko paljatywy, które nie stanowią jeszcze programu. Trzeba znaleźć jakieś wyjście z obecnej sytuacji nienormalnej, która dwom częściom jednego narodu każe żyć w warunkach zgoła odmiennych, w granicach dwóch obcych państw. Jeżeli dziś już przy słabem na ogół uświadomieniu polityczno narodowym w masach białoruskich ciężenie tych dwóch części ku sobie jest widoczne i wytwarza stan pewnego naprężenia, to z biegiem czasu, zwłaszcza, przy nieuniknionym wzroście liczebnym inteligencji białoruskiej dążenie do scalenia rozdartej ojczyzny będzie się ujawniało z coraz większą siłą i żadne koncesje natury ekonomicznej i kulturalnej tego naturalnego prądu *politycznego* nie zahamują i nie powstrzymają.

Dziś Wschodnia Białoruś ma większą siłę przyciągającą, niż Zachodnia. Co należy uczynić, aby było odwrotnie — oto jest problem, nad którym powinni łamać sobie głowę politycy polscy, a nie naiwnie marzyć o tem, aby wychować Białorusinów na idealnych obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, bardziej przywiązanych do Warszawy, niż do Mińska...

Prawdą jest, co pisze bezimienny autor, że dawna Rzeczypospolita nie była własnością i dziełem tylko narodu polskiego, lecz również litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, że była dźwignięta ku szczytom swej chwały ich wspólnym wysiłkiem i umiłowaniem wspólnej ojczyzny. Ale trzeba pamiętać o tem, że w skład dawnej Rzeczypospolitej wchodziła obszerne W. Ks. Litewskie, obejmujące całość ziem litewskich i białoruskich, a dzisiejsze państwo polskie posiada jedynie część ich i to względnie nieznaczną. Możliwy więc snuć marzenia o wznowie-

Na wspomnienie tego skrzywiła się Jaśkowi twarzyczka, jakgdyby czegoś kwaśnego połknął, i kilka łez spłynęło po policzkach.

Pewnego razu złapał go tatko na wrywaniu rzepy. Zaledwie zdążył Jaśko chwycić za łodygę i pociągnąć ją, gdy wtem tatko ściągnął go uzdeczką, i drugi raz, i trzeci, aż sąsiadki, co pracowały w swych ogrodach, napadły na niego, a potem, gdy tatko odszedł, mówiły między sobą:

— Porządny człowiek nawet przybłądy by tak nie katował, jak ten półgłówek rodzone dziecko.

Druga aż ramionami wruszyła, że ta nie wie.

— Na przybłądę by złość taka nie brała, bo nie byłoby powodu, a Jasiek.. w piątym miesiącu się urodził, ot co!

— O jej, nie może być!

— Spytaj drugich, jeżeli mnie nie wierzysz!

Jaśkowi nijak nie mogło w głowie się pomieścić, żeby przyjscie na świat w piątym miesiącu było tak wielką zbrodnią, aby za to trzeba było cierpieć aż przez całe życie.

— Co ja, — myślał, — mogłem wtedy wiedzieć, będąc tak głupim. Żeby to przy tym rozumie, to nigdy bym się nie rodził... Czy to teraz źle by mi było u Pana Boga, jak opowiadał stary Mażejkiś?

Moja duszyczka kwitłaby teraz sobie w rajskim sadzie, pełnym wonnych kwiatków, i nie trzeba by było w taki dzień brnąć po tem błocisku, ani w skórę dostawać, ni nędzy cierpieć..

Spojrzał na zabłocone nogi i dreszcz nim wstrząsnął; oto taki ostry wiatr dmie, Jasiek czuje ogromne zmęczenie, a ten worek tak mu się wrzyna w ramiona, — trzeba odpocząć! Obejrzał się, zobaczył, że opodal leży kamień, podszedł. Zdjął torbę i usiadł. Oczy szukały czegoś w oddali, hen, poza sobą..

— Gdzie to pozostały zabudowania Szymonów, że ich nie widać? — myślał sobie — a przecie nieżli byli ludziska: tylko dwa razy dostał w kark, gdy go znaleźli śpiącego przy bydle, chociaż dla pastucha lanie to chleb powszedni, i jeść zawsze dawali. I wieczorów szkoda. Och, te wieczory!..

Wszyscy, bywało, zbiorą się do izby i robią, co komu do roboty dano, a stary Mażejkiś siadzie sobie przy piecu, pali fajkę i opowiada różne dziwy o wojnach, o dawnych czasach.

Ale najwięcej podobało się Jaśkowi, kiedy stary, bywało, rozgada się i pocznie opowiadać o krajinie Szczęścia, co to jest gdzieś za dziewięcioma górami, za dziewięcioma rzekami, za morzami dziewięcioma.

niu federacji polsko-litewsko-białoruskiej, ale pod warunkiem, że Wilno, Kowno i Mińsk nie będą porozdzielane granicami... W obecnych warunkach domagać się od Białorusina, by stał się budowniczym państwowości polskiej — jest to żądanie równie nieologiczne, jak nierealne.

Te wszystkie środki, które zaleca domniemany p. Tadeusz Hołówko, a które w jego mniemaniu mają doprowadzić do tego, że Białorusini będą „kochać Rzeczypospolitą Polską”, zdolne są najwyżej uczynić z nich lojalnych obywateli państwa polskiego, na wzór Polaków galicyjskich w b. monarchji Austro-Węgierskiej. Wiemy jednak dobrze, jaką miał wartość dla monarchji Habsburskiej pozorny lojalizm ludności polskiej — w momencie krytycznym...

K. W.

Impresjonizm w polityce.

Kiedy przed trzema laty p. Józef Albin Herbaczewski opisywał swe wrażenia z wycieczki do Warszawy i Krakowa w tonie egzaltowanym i z głęboką wiarą w posłannictwo dziejowe Piłsudskiego przepowiadał rychłe nadejście decydującego momentu w stosunkach polsko-litewskich, potraktowaliśmy wówczas wynurzenia niepoprawnego entuzjasty, mistyka i romantyka z dużą dozą krytycyzmu, nie kwestjonując szczerości jego przekonań i oddając hołd należny jego odwadze cywilnej, wytykając jedynie bezpodstawny optymizm i zbyt literackie ujęcie zagadnienia politycznego.

Prasa litewska osądziła ówczesne wystąpienie p. J. A. Herbaczewskiego znacznie surowiej, nie szczędząc mu dosadnych epitetów i odmawiając mu nawet prawa mianowania się Litwinem. Natomiast prasa polska (z wyjątkiem nieprzejednanych szowinistycznych organów endeckich) udzieliła szerokiej gościny na swych łamach wywodom gościa kowieńskiego i nie żałowała mu słów zachęty i aprobaty.

Jeżeli do tej krainy zabłądzi kto z naszej ziemi, z ziemi męki i łez, to tamci ludzie przyjmują radośnie, i kochają, i podarunków nie żalują, i mądrości wszelakiej nauczą; a jeżeli kto chce, to pozwalają odwiedzić swoich, i kiedy wypuszczają, to całego błyszczącego, szeleszczącego jedwabiem; jeżeli chłopiec, to konno, a jeżeli dziewczynka, to w karecie. Tamci ludzie bardzo kochają biednych i sieroty, dla których na tym świecie niema miejsca. Choćby jak temu Klimkowi, którego ojciec nie cierpiał i zawiózł do lasu. Błąkając się w gęstwinie leśnej, Klimek znalazł pomiędzy jodłami ścieżynkę i począł nią iść. Szedł, szedł i zaszedł... A gdy po kilku latach zawiątał do ojca, to go nikt nie poznał.

— Gdyby to mnie znaleźć taką ścieżynkę! — marzyło chłopię i oglądać się poczęło.

Gdzie tam! Przed nim wije się tylko jedna, jedyna, jak okiem sięgnąć, błota pełna droga. Potem hen, w dali las, za lasem pastwiska i dom rodzinny... Siwek! — przypomniało mu się nagle. Siwek, co on robi? Co będzie robił: stoi sobie przy żłobie i obrok żre. Czy pozna mnie, szelma? Czy żarzy?

Zabiło żywiej serce, rozpogodziła się twarzyczka. — Siwek... — powtarzał, — Siwek!

I zda się, widzi, jak stary koń wyciąga szyję,

Minęły trzy lata. Przepowiednie p. J. A. Herbaczewskiego nie sprawdziły się w najmniejszej mierze. Mąż opatrnościowy, w którym p. Herbaczewski pokładał całą swą nadzieję, nie uczynił żadnego kroku, któryby chociaż o włos przybliżył rozwiązanie zatargu polsko litewskiego. Pewne odprężenie nastąpiło wskutek psychicznego zmęczenia i wymogów życia praktycznego, zasadniczy jednak stosunek obu państw, obu narodów i obu społeczeństw na dwóch rozdzielonych terytorjach Litwy historycznej pozostał bez zmiany.

Zmieniły się natomiast gruntownie nastroje u poszczególnych polityków i publicystów. W obozie „laudiników”, zdecydowanych doniedawna przeciwników porozumienia polsko litewskiego, wyznających na tym punkcie zgodną orientację z „tautininkami” i „krikszczoniami” zaczęły się rozlegać głosy pojednawcze, napomykające o potrzebie kompromisu, dotychczasowego zaś gorącego apostoła zgody polsko litewskiej p. Józefa Albina Herbaczewskiego ogarnęło wyraźne zniechęcenie, któremu dał wyraz na szpaltach półurzędowego „Liet. Aidas”, zamieszczając w numerze z d. 13 sierpnia mocno zgryźliwy artykuł p. t. „Dosyć złudzeń!”

W artykule tym p. Herbaczewski ukazuje nam nieznaną dotąd swe oblicze sceptyka i realisty.

Jakże inaczej przemawia p. J. A. Herbaczewski dziś niż przed trzema laty! Już sam wstęp do artykułu jest wysoce charakterystyczny:

„Mówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu”. Tem polskiem przysłowiem możnaby doskonale scharakteryzować politykę Litwinów (jest ich zaledwie garstka), którzy wciąż jeszcze oczekują od polskich władców belwederskich „najlaskawszej mądrości czy sprawiedliwości”. Wyznawcy tej polityki wciąż jeszcze wierzą, że marszałek Piłsudski („człowiek o duszy litewskiej”), planuje „coś” genialnego i że ten „mąż opatrnościowy” (i p. Voldemaras w wywiadzie z pewnym żydowskim dziennikarzem z Wilna, który to wywiad zamieścił „Kurjer Wileński” — to przyznał), wyczekuje jedynie dogodnego momentu, ażeby wyjawić Litwie i Litwinom „jakaś”

jak obwąchuje mu, kieszenie. Wie on, że Jasiek z próżnemi rękoma nie przychodzi, zawsze coś dla niego schowa: to garść owsa, to kawałek chleba od obiadu. Pewnego razu ojciec go złapał i dwa dni wypadło jeść bez chleba; a jednak swego nie porzucił, tylko ostrożniejszym się stał od tego czasu.

Te myśli podniosły Jaśka z kamienia. Pomacał, czy w zanadrzu jeszcze jest węzełek, założył na plecy torbę z wystającym z niej bochnem chleba i poszedł dalej, chlapiąc po czarnem błocisku tego świata. Szedł i marzył...

Nagle przystanął Jasiek w gęstwinie leśnej — ujrzał wąską ścieżynkę. Zachodzące słońce świeciło z boku, i Jasiek zobaczył, że ta ścieżynka ciągnie się aż w głąb lasu. Przykląkł i począł się bacznie przypatrywać: w oddali widać było łąkę zieleniejącą, niczem na wiosnę; na brzegach jej rosła wiklina i trzcina o złocistych strąkach lub o pękach srebrzystych, dziwnie błyszczących w czerwonych promieniach słońca. Serce Jaśkabiło, mocno biło.

— Znalazłem! znalazłem! — powtarzał. — To tu ta sama ścieżynka, o której opowiadał Mażejkis! Takie same strąki złociste, srebrzyste pękł Wszystko, nawet murawa, jak na wiosnę.

niestychaną sensację, która cały Wschód zadziwi. „Stary Warszawianin” właśnie należy do tej grupy polityków, dla której przemawianie do obrazu marszałka Piłsudskiego i cierpliwe wyczekiwanie cudownej odpowiedzi tego obrazu stanowi pracę bardzo miłą, zaś „kwadratura koła” wileńskiego daje się łatwo rozwiązać: cudowny obraz nagle cudownie przemówi i wszystko będzie w porządku”.

P. Herbaczewski popełnił tu nieścisłość, zarzucając „Staremu Warszawianinowi”, a dalej również prof. Paksztasowi „przemawianie do cudownego obrazu”. Ani jeden, ani drugi nigdzie nie dali do zrozumienia, że uzależniają powodzenie swych projektów od stanowiska marszałka Piłsudskiego. To tylko p. J. A. Herbaczewski, do czego się zresztą sam przyznaje, wyrzucając dzisiaj sobie swoją własną naiwność, wierzył w omnipotencję marsz. Piłsudskiego i oczekiwał odeń cudu...

Pierwsza ta część artykułu p. t. „Przemowa do obrazu” ma jednakże charakter polemiczno-osobisty. Swe zasadnicze poglądy na sprawę wileńską p. Herbaczewski ujmuje w oryginalną formę jakby dialogu pomiędzy sobą a fikcyjnym politykiem polskim. Oto jak, zdaniem p. Herbaczewskiego, wygląda „teza polska”.

„Bracia - Litwini, Przestraszeni niebezpieczeństwem niemieckim i bolszewickim, sami wkrótce do nas przyjdziecie, błagać naszej pomocy. Postąpicie właśnie tak, jak postąpił wasz Wielki Witold, któregośmy ocalili. Oczekujemy waszego przyścia do nas. Bracia - Litwini, Zrozumcie, że tylko my jedni, a nikt więcej, możemy zagwarantować wam niepodległość. Za gwarancję tę zapłacicie nam Wilnem. Nie wiecie, że i Niemcy i Rosjanie chcą was uciemiżyć. Ojczyzna wasza—to punkt zetknięcia dwóch Drang'ów: niemieckiego—nach Osten i bolszewickiego—nach Westen. Niemcy świadomie prowadzą do nowego Grunwaldu, zaś bolszewicy chcą was rozsadzić od wewnątrz. Pomyślcie nad tem, co was czeka i zrozumcie naszą misję nad Bałtykiem. Bez naszej pomocy ani jedno państewko nadbałtyckie się nie ustoi. Jeżeli nie Niemcy, to Rosjanie zagrabią was

wcześniej czy później. Zrozumiejcie, mili bracia. Wyrzeczcie się Wilna, natomiast uzyskacie *darmo* pomoc naszej armji, ochronę i możność spokojnej pracy kulturalnej.

Bracia - Litwini, raczcie zrozumieć, że w żaden sposób nie możemy wam zwrócić Wilna. W żaden sposób. Nasze ustępstwo w sprawie wileńskiej zmusiłoby nas do ustępstw na rzecz Ukraińców w sprawie Lwowa i na rzecz Niemców w sprawie korytarza pomorskiego. Stworzyć takiego precedensu nie możemy. Raczcie to zrozumieć. Wreszcie, Wilno w naszych rękach — to potężna pięść przeciwko Rosji (obecnej i przyszłej), będąca ochroną dla wszystkich państw nadbałtyckich. W granicach waszego państwa Wilno stałoby się jedynie szpilką, którąbyście mogli tylko kłuć w oczy przeciwnika. Jeżeli nie chcecie zagłady Wilna, pozostawcie je po naszej stronie. Zdrowy rozsadek nakazuje wam tak postąpić.

Bracia - Litwini, postarajcie się odzwoyczać od Wilna. I po co wam potrzebne tak niebezpieczne miasto? Wilno byłoby dla was jedynie „kłopotem kłopotów”. Wilno—to „koń Trojański”. Nie umiecie dać sobie rady z Kłajpedą, a jakże dacie sobie radę z Wilnem? Nie macie ani pieniędzy ani potężnej armji. Wilno wymaga pieniędzy, zaś bliskość granicy bolszewickiej—żołnierzy. Jesteście słabi. Białorusini, bolszewicy, z łatwością was pokonają. W słabych rękach Wilno być nie może. Przecież trzeba się oprzeć „Drang'owi” bolszewickiemu. Jesteście bezsilni. Wilno—to dla was niebezpieczeństwo, które was rozsądzi. Rozumieją to mocarstwa. Tylko wy nie chcecie tego zrozumieć. Szkoda.

Rekompensaty za Wilno szukajcie nie u nas, a gdzieindziej. Postaramy się was zrekompensować i zadowolnić wasze ambicje państwowe. Słuchajcie: O ile nam się uda obronić korytarz gdański, Prusy Wschodnie zginą. O ile nie zechcą one połączyć się z nami dobrowolnie (federacja polityczno-ekonomiczna), zostaną zlikwidowane siłą. Moglibyście wtedy otrzymać Królewiec...

O ile Łotwa (nawet przy naszej pomocy) nie oparłaby się rosyjskiemu parciu do morza, lub po-

Zrobił kilka kroków w głąb.

— Nie! Najprzód Siwka zobacze, a potem, gdy wszyscy zasną, pójdę sobie! — Jeszcze raz zajrzał w gęstwinę, zawrócił i zaczął iść drogą ku domowi.

Wszedłszy na podwórko ujrzał dziwną scenę: przy płocie stał przywiązany Siwek, ale jak! Boki zapadłe, ogon i grzywa ostrzyżone; wszystkie żebra można było policzyć — tak wystawały; drżał całym ciałem, potrząsając to jedną nogą, to drugą. W jego całym wyglądzie było coś takiego, co serce żalem tak ścisnęło, że Jasiek stanął, jak wryty.

— Siwek, Siweczek! — przemówił nie śmiejąc podejść.

Koń drgnął, podniósł głowę i zarżał z cicha. Jasiek przypadł do niego, zarzucił mu rączki na szyję i zaszlochał.

— Jasiek! — krzyknął Piotruś, przewieszając się przez płot. — Czego ty tu? Chodź zobaczyć nowego konia.

— Co wyjście mu zrobili? — spytał Jasiek braciszka. — Czemu go przy płocie trzymacie, na zimnie?

— Tatko żydom sprzedał; zachorował. Widzisz, tatko woził belki; wóz ciężki, w dodatku za dużo napakował i poderwał się Siwek... Żyd dał ledwie

osiem rubli; póki jeszcze nogami wlecze, rozumie się będzie jeździł po wsiach z kramikiem, a potem zciągnie skórę i tyle! Chodź, popatrz na nowego konia! — nalegał Piotruś.

— Idź precz! — odparł Jasiek, gładząc starego przyjaciela po szyi. Gładził i myślał. Przerwała mu te rozmyślenia matka.

— Nic nie poradzisz, Jasieńku. Pieniądze już u tatki. I ja nie mogę patrzeć. Ot, zdaje się koń ni ojciec, ni matka, a jednak... chodź lepiej, syneczku. Po co tu serce darmo krwawi!

Objęła Jaśka za głowę; on jej ręce całował.

— No, co, zwolnili?

— Zwolnili — odpowiedział. — Oto gościniec, a tu pieniądze — chwalił się, ciągnąc z zanadru węzełek. — Patrzcie, matulu, cała garść. Gdyby tak nie oddać wszystkich tatce... a?

— Co też ty mówisz! — i drugie tyle wlezie. Czyż można napełnić dziurawy worek? Może nie będzie gryzł, oddaj wszystkie.

Umilkła, bo od gumna szedł mąż.

— Otóż ja i myślę, kto to chleb jeść pomoże. A tu i znalazł się pomocnik!..

Jasiek poczerwieniał, spojrzął na ojca, podszedł, w rękę pocałował i odparł:

łączyłaby się dobrowolnie z Rosją, port Libawa i twierdza Dźwińsk (Dyneburg) w żaden sposób Rosji by przypaść nie mogły. Oba te miasta mogłybyście otzyskać wy.... Zrozumcie nas. To polityka niedalekiej przyszłości...

Bracia Litwini. Wasz los związany jest z naszym losem. Taki to już są zaczarowane koła historii. Raczcie się nad tem poważnie zastanowić i wyciągnąć wnioski..."

Na powyższą wymagowaną przez siebie tyradę odpowiada p. Herbaczewski:

„Piętnaście już lat (nie licząc mej działalności przedwojennej) marzę o tem, jakby się realnie z Polakami porozumieć. Jeszcze w 1920 roku marzyłem o zrealizowaniu koncepcji Litwy kantonalnej. Na wszystkie me projekty Polacy odpowiadali; non possumus. Obecnie przekonany jestem głęboko, że w żaden sposób drogą realną (nie manowcami fikcyjnymi) z Polakami porozumieć się niepodobna. W żaden sposób nie można tak zrobić, ażeby i wilk był syty i koza cała. Śmieszne się stają, najgenialniejsze projekty" (d-ra Paksztasa). Polacy nie chcą żadnych ustępstw na rzecz Litwy. A czy Litwa może ustąpić? Również nie. Próżne wysiłki i próżna frazeologia cechują próbę pojednania Litwy z Polską. Kwestja wileńska stanowi dla Litwy sprawę honorową.

Polacy ignorują honor naszego narodu i państwa. Nie liczą się z naszymi żywotnymi interesami. Polacy są w stosunku do Litwy istnymi monomaniakami. „Co jest dla nas korzystne, musi być również korzystne dla was". Taka jest ich polityczna teza. Wstyd im Litwie ustąpić. „Nauczycie się i bez Wilna, pod naciskiem okoliczności, jeżeli nie kochać nas, to przynajmniej szanować". „Możemy się bez was obejść, zaś wy bez naszej opieki się nie obejdzicie". Taka jest polska teza polityczna. Kwestja wileńska w salonach sfer polskich jest „tematem nieprzyzwoitym". „Dobrze wychowany" człowiek o sprawie wileńskiej w salonach tych nie mówi. Nie istnieje żadna kwestja wileńska. Są tylko Litwini „z bzikiem" na punkcie Wilna. Polacy łaskawie pozwalają (sic) Litwinom-politykom na punkcie Wilna

„bzikować", wiedząc, że lud litewski od „bzika" tego jest wolny (sic). Czekają więc spokojnie, w przekonaniu, że rychło i politycy litewscy „się opamiętają".

Czy możliwe jest w takich okolicznościach i warunkach jakiegokolwiek porozumienie z Polakami? Nie. Dostyc przeto złudzeń.

Polacy utracili honor, zagarniając siłą Wilno i łamiąc układ. Ich przeto rzeczą, a nie naszą, jest przywrócenie polskiego honoru. My, pojednawszy się z Polakami na ich warunkach, utracilibyśmy honor własny, a przywrócilibyśmy honor polski. Tego być nie może. Człowiek honorowy z niehonorowym porozumieć się nie może. Polacy chcą od Litwy niemożliwości: chcą przywrócić swój honor kosztem honoru Litwy. Zaczarowane koło. Niema żadnego wyjścia.

Mojem zdaniem, polityka obecnego rządu naszego w stosunku do Polski jest konsekwentna i logiczna. Narazie niepodobna w żaden sposób lepszej polityki wymyśleć. Przynajmniej honor Litwy i Litwinów jest nienaruszony. Polityka ta narazie bierna, lecz bierność ta paraliżuje przynajmniej polską aktywność. Bierność nasza narazie pod względem taktycznym i strategicznym jest lepszą i korzystniejszą. Możemy spokojnie czekać, zanim okoliczności się zmienią i zanim cudowny obraz marszałka wreszcie się nie domyśli przemówić do nas po litewsku, to znaczy słowem uczciwem i honorowem. Droga do serca Litwy prowadzi przez Ostrą Bramę (nie jest to pusty symbol), a nie przez kuznicę krętaćwa i matactwa. — Dixi".

Nic dziwnego, że tak skrajnie pesymistyczny pogląd na kwestję stosunków polsko-litewskich tym razem wywołał efekt odwrotny. Prasa litewska przyklasnęła p. Herbaczewskiemu, prasa polska zaś albo pominęła nieoczekiwany występ rzekomego „ugodowca" całkowitem milczeniem, albo też podała o nim dłuższą lub krótszą wiadomość, zaopatrzoną w nieprzychylnie komentarze. Niektóre pisma obrzuciły nawet autora błotem.

Dotknięty temi napaściami p. Herbaczewski nadsyła nam następujący list otwarty:

— Nie martwcie się, tатку, i nie ciescie się, nie długo będę wam pomagał w jedzeniu chleba; u ludzi jest chleba dosyć, żeby tylko zdrowia wystarczyło!

— Widzicie go, jaki mądry. No, no, niech Pan Bóg poszczęści! A gościńca dostałeś?

Jasiek podał torbę.

Stary zważył w rękę i skrzywił się ze wzgardą.

— Wiadomo, — bochen, jeśli tylko go nie obcięto. Plew nie pożałowali przyłożyć. Wiadomo gościńca...

Zaniósł jednak torbę do świrna.

Jasiek odrazu poczuł, że jest tu zbyt czynnym i odczuł to głęboko, jak niegdyś razy ojcowskie i ostre słowa. Przy kolacji, chociaż sam ojciec kazał usiąść przy stole, jedzenie nie szło do serca: oto siorbnie z łyżki — zdaje się — dusi kto, nie chce przejść przez gardło. Ledwie doczekał się chwili, w której wszyscy spać poszli.

Zalazł na swoje posłanie na piecu — sen nie klei powiek, żal ściska serce chłopięce.

Teraz, porównawszy swoją matkę z drugimi gospodyniami, rozumie dużo, dużo.

Biedaczka wciąż tylko patrzy w oczy tатce... gdzie indziej najemnica w lepszym poszanowaniu... za co? Wszystko to dlatego, że ja się pośpieszyłem z urodzeniem!.. A gdyby tak wziąć Siwka, matkę i pójść w trójkę tam, do „Krainy Szczęścia!"... Nie byłoby gorzej... Ta ścieżynka to ta sama, o której opowiadał Mażejkiś: na jednej trzcinie złociste główki się gną, na drugiej pęki srebrzyste... Pójdziem i tyle! Ja ich zaprowadzę.

Płacz małego braciszka, który urodził się w czasie jego nieobecności, przerwał te myśli. Słyszał skrzypienie koszyka kołyski: matka huśtała maleńkiego.

— Kto jego wychowa? Kto huśtać będzie? Mażejkiś mówił, że sierotkom źle bez matki. Nie, pójdę sam, za kilka lat wrócę bogaty, jak wielki pan, wtedy...

Ucichło dziecko, kołyska już nie skrzypiała, w ciszy nocnej słycać było chrapanie śpiących.

Jasiek pocichutku zaczął się zsuwać z pieca, potem do drzwi.

Serce tak biło, tak bardzo biło. Kto wie, czy jaki strach nań napadnie, jak w bajce... Strach zawsze napada, ale kto go pokona, ten zwycięży... Tak mówił Mażejkiś.

Sądzę, że prasę polską obowiązuje również jakaś etyka dziennikarska. Sądzę, iż mój inkryminowany artykuł „Dość iluzji” najpierw trzeba przeczytać sumiennie, rozważyć pro i contra (okoliczności, w jakich został napisany) i dopiero później rzeczowo, spokojnie polemizować, a nie poprzestawać na brzydkich insynuacjach.

Że mam niemiłe dla pewnych sfer polskich przekonanie o niemożliwości (przynajmniej dzisiaj) ugody litewsko-polskiej, to jeszcze nie dowód, że tej ugody nie chcę. Napisałem wyraźnie: *chcę, lecz nie umiem nawet zrozumieć tej ugody możliwości!* Wolno mi wypowiadać niemiłe pewnym sferom polskim przekonania i nie być odsądzonym od [czci i wiary! Jeśli głupstwa napisałem, proszę rzeczowo i spokojnie to mi dowieść. Proszę uczciwie dyskutować na temat, przezemnie poruszony, a nie miotać obelgi („Dziennik Wileński”), Wstyd przecież prasie polskiej, że takiego idjotę, jak ja dopiero teraz poznała!

W Warszawie przecież wiedzą, że Dmowskiego stronnicy jeszcze w r. 1920—marzyli o tem, aby z Rosją Sow. podzielić się „sferami wpływów”, t. j. państwami nadbałtyckimi (Litwa w sferze polskiej. Łotwa i Estonia w sferze sowieckich interesów ekonomiczno-politycznych). O tem wróble na dachach Warszawy śpiewają. Tak samo na dachach Berlina śpiewają wróble niemieckich nacjonalistów o tem, że trzeba Polskę kompensować za korytarz gdański Litwą, (portem Kłajpedą) no i — Ukrainą Sowiecką!

W moim artykule ja te sprawy poruszyłem. I za to ja już—„szubrawiec na żoldzie pruskim”!!? No, no! „Głodnemu chleb na myśli”.—

Rumienię się za prasę polską. Sama siebie policzkuje. Jeżeli ja bzik, to czem jest naprawdę zbzikowana znaczna część prasy polskiej?
A. Herbaczewski.

Wydaje się nam, że oburzenie p. Herbaczewskiego na całą prasę polską jest nieuzasadnione. „Dziennik Wileński” i t. p. organy zoologicznego nacjonalizmu nie reprezentują przecież całej prasy polskiej. Jeżeli chodzi o prasę wileńską, to zarówno „Kurjer Wileński”, jak „Słowo” potraktowały artykuł p. Herbaczewskiego krytycznie, lecz bez złej woli. Sam p. Herbaczewski zresztą w „Słowie” zamieścił replikę rzeczową, w której zaznacza, że odpowiada na „szlachetne zapytanie p. m.”.

Zarówno pierwszy artykuł, jak wspomniana replika p. Herbaczewskiego zawierają sporo słusznych myśli i trafnych uwag, których większość zresztą niejednokrotnie była uzasadnianą na łamach „Przeгляdu Wileńskiego”. Cieszymy się, że nasze zapatrywania obecnie tak się do siebie zbliżyły. Mimo to, my nie jesteśmy takimi pesymistami, jakim jest *dziś* p. Herbaczewski. Może dlatego, że nigdy znów nie wpadaliśmy w bezgraniczny optymizm... Impresjonizm w polityce wydaje się nam bowiem rzeczą całkiem niepotrzebną i wprowadzającą zamęt w pojęciach szerokiego ogółu.

W braku laku...*)

Pamiętamy wszyscy, jak to przed kilku laty grasował po Wilnie p. E. M. Schummer i jak w pismach warszawskich zjawiał się z podpisem jego lub kryptonimem E. M. S. różne artykuły o Wilnie, wywołując w naszej prasie surową ocenę naskutek 2-ch osobliwości w nich zawartych. Albo były to przedruki (bez cudzysłowu i podania źródła) z cudzych prac — o co obrażali się autorowie, używając o tem słowa: plagjat, albo znów był to zbiór (mówiono wówczas w Wilnie: stek) źle powiązanych wiadomości, zasłyszanych tu i ówdzie, często nie odpowiadających prawdzie — a z pełną nonszalancją przez autora ułożonych feljetonowo, z miną znawcy przedmiotu.

Nie mogło się za nic pogodzić Wilno z „nieścisłościami” p. E. M. S. o niem wypisywanemi — miejsca w Wilnie autor ten nie zagrzeł i — mimo niewątpliwych reporterskich zdolności, musiał się p. S. z areny wileńskiej wycofać.

Osiadł w Warszawie, nabrał ogłady, rażących ongiś „plagjatów” nie popełnia. Pisma warszawskie

*) E. M. Schummer: Nowa Litwa, Warszawa 1930, Nakład księg. Höesicka.

Jasiek usiłował nie poddać się strachom. Zrezygnował od płota Siwka, mówiąc: chodź biedaku! Tu dla nas niema miejsca: ja za wcześniej się urodziłem, tyś się zestarzał. „Tam” się zmieścimy, tam dla nieszczęśliwych wypoczynek, tam wszystkie męki się zapomni! Chodź! nogi ci się uginają, nieboraku. Niedaleko murawa zielona — tam przyjdiesz do siebie!

Cicho... Pokryte szronem drzewa stoją niczem zadumane, i wpatrują się w pogodny, zimny błękit nieba... Księżyc oświeca podróżnym drogę. Jaškowi zęby dzwonią, dreszcz nim wstrząsa. Wiadomo, nie lato: pogoda zimna.

— Nie bój się, Siwku, niczego nie bój. To nic, że po drodze będą strachy napadały — nie trzeba zważać! Przeżegnam i uciekną tam, skąd przyszły, a my przejdziemy... tylko hop przez rów, Siwku! niegłęboki, no, hop!

Koń do tego czasu posłuszny dziecku, stał jak wryty, na brzegu rowu.

— No, Siwek! No hop!

Pociągnął Jasiek raz i drugi; wreszcie Siwek naprężył się i skoczył, jęknąwszy, jak człowiek.

— Biedny — rzekł Jasiek — no, niedługo już. Tam mają takie lekarstwa, któremi od razu można wyleczyć wszystkie choroby. Zobaczysz, jaki z ciebie będzie ogier!

Szli wciąż dalej i dalej. Jaškowi coraz bardziej biło serce. Siwek coraz niżej opuszczał głowę, ale szedł.

— Już niedaleko! Oto widzisz, Siweńku, tam trzcinę. Pójdziemy tą drogą, aż zajdziemy. Może spotkamy jakiego dobrego staruszka, to powie, którejś iść... Widzisz, jak tu miętko — nie kłuje w nóżki... jak po pościeli. Widzisz, jak Pan Bóg nie opuszcza nieszczę...
Nie dokończył Jasiek, bo usunęła się nagle zielona murawa i otworzyła się straszna paszcza...
— Nie bój się! Nie bój! To się zd...
Zachłupotało czarne błoto bagna. Jasiek śmiał się w głos — ha ha ha! To się nam zdaje tylko...
Błoto wpychało się mu do ust — on uśmiechał się jeszcze pełen nadziei...
Cicho... Chyli się trzcina, ani Jaška, ani Siwka już niema, już nie widać ich — poszli do „Krainy Szczęścia”...

nieraz jego artykuły drukują — i, powiedzmy otwarcie — bywają one zazwyczaj ciekawie opracowane.

Ale na tem nie koniec.

P. E. M. S. pokusił się o rzecz większą — na którą się nie zdobył żaden wileński dziennikarz krajowiec, federalista, promotor zgody polsko-litewskiej. Poprostu wyjechał do Kowna. Tak, jak uprzednio uczynił to jedyny z pisarzy polskich — Adolf Nowaczyński, przedstawiciel nacjonalizmu à outrance.

Pojechał p. Schummer oficjalnie — pojechał jako reporter. Nie miejmy tedy do niego pretensji, że po reportersku zdaje sprawę ze swoich wrażeń w tomie, stanowiącym zbiór drukowanych po czasopiśmie sprawozdań — wydanym ozdobnie przez Hösicka p. t. „Nowa Litwa”.

W zbioru tym uderza przedewszystkiem to, że autor spraw opisywanych nie zna, a z drugiej widać, że ma jednak dobrą wolę ich poznania.

Gdzie tylko dotknie tematu wileńskiego — (np. spisy kościelne ks. Michalkiewicza) zaraz popełni jakiś błąd, to samo, gdy zacznie pisać o skutkach reformy rolnej w Litwie pod względem ekonomicznym przez pryzmat wynurzeń „panienki ze dworu” (i to okrojonego tą reformą). Również wszelkie spostrzeżenia i dywagacje osobiste mające znamionować dowcip lub (pożał się Boże;) „uzasadniać” punkt widzenia polski w sporze polsko-litewskim — stoją przeważnie na poziomie bardzo niskim.

Spostrzegawczość dość płytka, ślizganie się po wierzchu.

A jednak...

A jednak książka ta warta jest poznania, i trzeba uważać, że dobrze się stało, iż ukazała się na półkach księgarskich, że znalazł się wydawca i niewątpliwie znajdują polscy czytelnicy.

Pochodzi to stąd, że tam, gdzie chodzi o sprawy kulturalno-litewskie, o naukę, sztukę, literaturę, poezję, teatr czy muzykę litewską, tam gdzie autor mógł się opierać wyłącznie na źródłach swych informatorów litewskich — tam podaje swe wrażenia (zapewne również bez cudzysłowu) w formie obiektywnej, przyzwoitej, powiedzmy; „epickiej” (w zastosowaniu feljetonowym). Jest to jedna z nielicznych książek polskich powojennych, która informuje o kulturze litewskiej z sympatją, z uznaniem, z poczuciem wartości opisywanych fenomenów życia kulturalnego. Niema tam, tak często w polskich opisach spotykanego uśmiechu pobłażania, poklepywania po ramieniu, tego „disce puer... i t. p., tak zacinającego i urażającego dumę narodową litewską.

Choć autor nie może się ustrzec od obowiązującej mody „kurjerkowej” wstawiania swoich „uwag”, niby to dowcipnych, w przeciwnym kierunku — ale jednak nieuprzedzony czytelnik tej książki nabierze mimo wszystko przekonania: „oho; patrzajcie! — toż tam za miedzą rozwija się poważna kultura, wre praca we wszelkich dziedzinach kulturalnych i może poszczycić się niejednym już poważnym wynikiem”.

Śmiem twierdzić, że stanowi to tak poważną zaletę omawianej książki, iż nawet wszystkie jej wady, wszystkie braki, wszystkie przeoczenia i, nazwijmy grzecznie, „nieścisłości” pokrywa.

Nie jest to ostatecznie poważne studjum — a tylko dosyć zręczna *reporterka*. Nie żądajmy od reportera, i to w dodatku od p. E. M. S., by dał więcej, niż dać jest w stanie wedle znanego francuskiego powiedzenia o pięknej dziewczynie.

Ale za *ton*, wyłącznie za *ton*, w którym p. Schummer pisze o nowej kulturze litewskiej — niech będą mu przebaczone dawne jego grzechy wileńskie...

Należałoby mu się pewna rehabilitacja.

A chcecie wiedzieć więcej, lepiej, dokładniej... wtedy jedźcie sami do Kowna poważni panowie krajowcy, nie dajcie się ubiegać nacjonalistom polskim lub reporterom warszawskim ..

Siv.

*

(Przyp. Red.). Powyższą próbę rehabilitacji p. E. Schummera otrzymaliśmy od jednego z naszych czytelników, nie należącego zresztą do wyznawców bezwzględnych ideologii krajowej. Zamieszczamy ją ze względu na jej walory literackie i oryginalny punkt widzenia, którego jednakże nie podzielamy.

Nie sądzimy, aby tupet i nieuctwo zasługiwały z jakichkolwiekbyś względów na usprawiedliwienie. Autor recenzji domaga się pobłażliwego traktowania szkiców p. E. Schummera na tej zasadzie, że jest on reporterem i że od reportera nie można żądać, aby był poważnym publicystą. Na to jest prosta odpowiedź: jeżeli ktoś nie posiada odpowiednich kwalifikacyj, niech nie sięga po tematy, do których nie dorósł. *Ne sutor ultra crepidam!*

Stojąc na stanowisku p. Siva i chcąc być konsekwentnym wypadałoby usprawiedliwić partaczy i dyletantów we wszystkich dziedzinach życia: murarzy, zabierających się do wznoszenia stylowych pałaców, felczerów, dokonywujących trepanacji czaszki, majstrów drogowych budujących mosty kolejowe etc. Dlaczego jedynie w zakresie piśmiennictwa dobra wola ma być wystarczającym całkowicie kryterjum?

Ton p. E. Schummera, o którym p. Siv wspomina z takim uznaniem, bynajmniej nas nie zachwyca. W języku rosyjskim dla tego rodzaju jest doskonałe określenie, którego nie posiada język polski: *razwiaznyj ton*. P. Schummer rozprawia i wyrokuje z nonszalancją i pewnością siebie o rzeczach, których nie zna całkiem lub zna tylko powierzchownie, najczęściej z drugiej ręki. Z tem zjawiskiem, częstem niestety we współczesnym piśmiennictwie należy walczyć energicznie, a nie traktować je pobłażliwie i wyrozumiale.

Czyż można napisać coś dorzecznego o literaturze i ruchu kulturalnym danego narodu po kilku dniach pobytu wśród niego, nie znając nawet jego języka? Gdyby p. Schummer poprzestał na spisaniu swych wrażeń i rozmów, powstrzymując się od pretensjonalnych sądów i uwag, toby był zupełnie w porządku i możnaby było wówczas darować mu jego płytkość i braki kultury umysłowej. Ale wydana przezeń książka ma uchodzić za studjum informacyjne o Litwie współczesnej i w tym charakterze nie zasługuje bynajmniej na aprobatę.

Zarzut zaś p. Siva pod adresem krajowców jest zupełnie niestuszny. Pojechać do Kowna na kilka dni, a chociażby na parę tygodni, to zamało, by zapoznać się gruntownie z twórczością narodu litewskiego na polu kulturalnym, społecznym i politycznym. Dłuższy zaś pobyt z wielu względów jest utrudniony. Zresztą przedewszystkiem brak sił odpowiednich. P. Siv wie przecież dobrze, jak mało u nas jest ludzi, władających piórem, mających skłonności literackie lub dziennikarskie. Swego czasu p. Michał Römer napisał o Młodej Litwie poważną i źródłową pracę. Może doczekamy się kiedy drugiej takiej książki, ale niech Bóg broni, żeby do niej mieli się zabierać reporterzy.

Piszą do nas.

Żaloszny epilog smutnej sprawy.

Ilja, 5 września.

Dn. 2 września r. b. odbyła się tu rozprawa sądowa, będąca finałem głośnej hecy, jaką wiosną r. b. podszczuta część miejscowej ludności katolickiej (obrzędki łacińskiego) urządziła w cerkwi wsch.-słowiańskiej. Wtedy to tłum ciemnej a sfanatyzowanej gawiedzi odebrał przemocą klucze od cerkwi, wdarł się do niej z krzykiem, wciągnął ławki, począł ryczać religijne pieśni polskie, a gdy było mu dosyć śpiewu, śmiał się, głośno rozmawiał i — tak uniemożliwił o. Michałowi Sułkowskiemu, proboszczowi tej cerkwi, przez szereg dni odprawianie liturgji. (ob. „Przegląd Wileński“ Nr. 11 — 12).

O. Sułkowski przesłał prokuratorowi powiadomienie, że wobec względnego uspokojenia się, jakie latem nastąpiło w Ilji, cofa swe oskarżenie, wywołane tylko potrzebą wtedy obrony. Jednak do rozprawy doszło.

W charakterze biegłego wystąpił miejscowy proboszcz łaciński, ks. Leon Gierdziewicz, nie mający żadnego pojęcia, jako też kontaktu z nader skomplikowaną u nas sprawą obrzędki wsch.-słowiańskiego. Oczywiście, nie przeszkodziło to wcale ks. Gierdziewiczowi wystąpić z długimi wywodami, nacechowanymi jawną nieżyczliwością względem bratniego obrzędki. Na rozprawie byli obecni jeszcze dwaj księża łacińscy: ks. Bujnowski (głośny poprzednik ks. Gierdziewicza w Ilji, moralny sprawca całej hecy przeciw o. Sułkowskiemu) i ks. Żemło (wychowanek wybitnej Rosjanki katolickiej i literatki, ś. p. Zofji Bykowej-Lukinowej, przybyły tu przez ciekawość). — Brakowało tylko ks. Borodiczka ze swą limuzyną.

Jak można było się spodziewać wszyscy podsądni, sprawcy awantur w cerkwi ilejskiej, zostali uniewinnieni. Policjant, występujący w charakterze świadka, zeznał na ich korzyść i sprawiał wrażenie raczej obrońcy podsądnych.

Rzecz znamienna, że niektórzy świadkowie ze strony podsądnych rzucali na sądzie oskarżenia, że o. Sułkowski w cerkwi rzekomo nazwał ich *polskija mordy*, co jest wierutnym oszczerstwem, za które o. Sułkowski pociąga winnych do odpowiedzialności sądowej. Tembardziej, że to byli świadkowie zaprzysiężeni.

Najbardziej może czuł się zaniepokojonym o wynik sądu b. proboszcz ks. Bujnowski, który zjechał już do Ilji dn. 29 sierpnia, czyli na pięć dni przed sądem i napracował się tu nielada, obchodząc wszystkich podsądnych i świadków, odwiedzając mieszczan i ziemian, tych zwłaszcza, którzy według miejscowej opinji, uchodzą za osoby wpływowe... Napewno nie przyjechałby on aż z Belmontu do Ilji, jeśli by nie był osobiście zainteresowany w wyniku sprawy. Dziś może triumfować.

Hecujący łacinnicy w Ilji mogą być też zadowoleni. Nie chciał ingerować w sprawę zająć u nas sąd duchowny, sad zaś cywilny uniewinnił awanturników. Trudno o wymowniejszą ilustrację.

Czyż można się dziwić, że akcja unijna tak słabo się rozwija, skoro łacinnicy nieraz, nie bez udziału księży łacińskich, prowadzą jawną kontrakcję?!

Wyrok sądowy w Ilji przekona tylko, że sprawcom, podszywającym się pod flagę polską, ująć może bezkarnie każde wystąpienie przeciw Unji. Wszystko to jednak już było w dziejach Unji... N. M.

Listy do redakcji.

I

Szanowny Panie Redaktorze.

Z powodu listu, który ks. K. Gieczys ogłosił w „Przeglądzie Wileńskim” z dnia 10 VIII r. b. Nr. 13-14, w sprawie jego mianowania na stanowisko sekretarza generalnego organizacyj katolickich litewskich i jego szybkiej rezygnacji z tego stanowiska, mam zaszczyt uprzejmie prosić Pana Redaktora o umieszczenie w poczytnym swem piśmie następujących słów kilku.

Ks. K. Gieczys pisze w pomienionym liście między innymi: „w sprawach tych konferowałem z ks. dr. A. Wiskontem, prezesem T wa św. Kazimierza, a z ks. prof. P. Kraujalisem i ks. prof. K. Czybirasem aż kilkakrotnie, uważając ich za ludzi, którzy w pracy religijno-społecznej wśród Litwinów zajmują czołowe stanowiska.... W czasie moich konferencji z wyżej wspomnianymi księżmi niektórzy dali mi do zrozumienia, że z tej akcji nic nie będzie, i wyczułem życzenie, abym z niej się wycofał”.

W odpowiedzi na powyższe, uważam za stosowne zaznaczyć, że ks. K. Gieczys, po otrzymaniu nominacji na stanowisko, o którym mowa, rzeczywiście odwiedził mnie, przy czym mówił o trudnościach, jakie spodziewał się napotkać w tego rodzaju pracy, tak ze strony litewskiej, jak i polskiej, szczególnie zaś obawiał się ewentualnych napaści „Dziennika Wileńskiego”. Jednocześnie ks. Gieczys nadmieniał, że zajęcia te będą przeszkadzały jemu, jako studentowi U. S. B. w nauce, a w końcu rozmowy zaznaczył, że dla tych wszystkich przyczyn ma zamiar zrzec się tego stanowiska. Ja zaś zwracałem wtedy uwagę młodego kapłana na doniosłość pracy, jaką mu J. E. ks. Arcybiskup zlecił, przytem radziłem mu w mianowaniu tem widzieć wyraz woli Bożej i zabrać się do spełnienia jej z poświęceniem, nadmienając, że zbytńia wrażliwość na to, co kto powie, nieraz zupełnie niesłusznie powstrzymuje ludzi od najlepszych poczynań. Wreszcie dodałem że w tym wypadku kompromitacji obawiać się nie potrzebuje, gdyż J. E. ks. Arcybiskup potrafi jego w każdej chwili skutecznie obronić. Stąd widać jak gorąco zachęcałem młodego konfratra do podjęcia włożonego nań zadania. Wkrótce jednak dowiedziałem się, że ks. Gieczys sekretarzem generalnym organizacyj katolickich litewskich już nie jest.

Wilno, dn. II.VIII.1930 r.

Ks. Antoni Wiskont

Prezes Litew. T-wa św. Kazimierza.

II

Szanowny Panie Redaktorze.

W związku z listem ks. K. Gieczysa, zamieszczonym w „Przegl. Wil.” Nr. 13-14, w którym autor listu twierdzi, jakoby on w sprawach organizacyjnych i społeczno-religijnych, pełniąc swoją misję wśród Litwinów, aż kilkakrotnie konferował pomiędzy innymi ze mną, niniejszem stanowczo oświadczam, że ani razu z ks. K. Gieczysem o tych sprawach nie konferowałem i żadnej sprawy o charakterze społeczno-organizacyjnym z nim nie załatwiałem. Co prawda, znając go z ławy szkolnej jako swego ucznia, w powodzenie jego misji nie wierzyłem. Jego pierwsze kroki na polu pracy społecznej nie miały styczności ze sprawami szkolnymi i dla mnie były dość obojętne.

Dziwi mię bardzo, że ks. Gieczys w swoim liście zupełnie zbędnie i niezgodnie z prawdą do swoich minionych już spraw jeszcze raz próbuje mieszać osoby, które sobie tego nigdy nie życzyły i nie życzą i które, jak ja, ks. Gieczysowi ani pomagały, ani przeszkadzały, nie chcąc za jego działalność brać jakiegokolwiek odpowiedzialności. Zresztą sam ks. K. Gieczys dotychczas nigdzie palca swego nie przyłożył do pracy oświatowej litewskiej, której od wielu już lat mam zaszczyt przewodniczyć.

Wreszcie, czyżby ks. K. Gieczys na tyle był nieobeznany z prasą litewską, by nie wiedział, iż „Vilniaus Aidas” 1926 r. nie było wyrazicielem opinji litewskiej katolickiej. Łączenie napaści tego organu z nazwiskami bądź co bądź starszych kapłanów, którym, zdaje się nawet sam ks. K. Gieczys nie śmie odmówić zasług w pracy społecznej, nie zdradza w autorze listu tej dobrej woli, której przy wyjawieniu publicznie nazwisk od autora listu mamy prawo oczekiwać.

Z głębokiem szacunkiem

Prof. ks. Piotr Kraujalis

Wilno, 10.VIII.1930 r.

Listy powyższe, jak widać z ich dat ukazują się z wielkim opóźnieniem, wskutek dłuższej przerwy w wydawnictwie „Przeglądu Wil.”, spowodowanej ferjami letnimi a następnie chorobą redaktora. W międzyczasie ks. prof. Kraujalis zamieścił list do redakcji o treści identycznej na szpaltach „Viln-Rytojus”, który wywołał ze strony ks. Gieczysa replikę i ponowne wyjaśnienie ks. Kraujalisa. Z powyższej polemiki wynika, że w znacznym stopniu wywołało ją nieporozumienie, polegające na subiektywnym pojmowaniu użytego przez ks. Gieczysa wyrażenia „konferencja”. Sądzymy, że sprawa jest zbyt błaha, by zaprzętać nią zbytnio uwagę naszych czytelników, to też poprzestajemy na podaniu nadesłanych nam listów (Red.).

Z dziejów bernardynów litewskich.

(Notatka historyczna).

Ks. Florjan Niewiero uzyskał na uniwersytecie Stefana Batorego stopień magistra teologii za rozprawę, mającą za temat pierwotne dzieje bernardynów w Litwie. Gromadząc potrzebny do niej materiał, udało się mu otrzymać od uczonego bernardyna, o. Czesława Bogdalskiego z Krakowa ciekawe wypisy z dawnych kronik klasztoru bernardynów w Wilnie, które w streszczeniu podajemy poniżej.

Podczas pobytu legata apostolskiego Zacharjasza w Wilnie, niektórzy zakonnicy (bernardyni) narodowości litewskiej złożyli mu skargę, jakoby polscy ich bracia zakonnicy, po śmierci zacnego obywatela kowieńskiego, Ottonka Maciejowicza, zmarłego bezdzietnie, który w przeważnej części był fundatorem klasztoru (bernardynów) w Kownie, wynieśli całe jego mienie z klasztoru kowieńskiego i przywłaszczyli sobie. Skarga ta, którą zanieśli dwaj litewscy zakonnicy, zamieszkali w klasztorze wileńskim, a mianowicie o. Antoni z Kowna i braciszek Jan Cichy, nie została poparta dostatecznymi dowodami, stała się jednakże punktem wyjścia dla bardzo poważnych zatargów między polskimi a litewskimi zakonnikami. Od tego czasu w klasztorach na Litwie, zaznaczyły się wyraźne dążności separatystyczne, zmierzające do oderwania się od związku z polskimi klasztorami i do utworzenia odrębnej prowincji litewskiej. Głównym działaczem w tym kierunku był wspomniany powyżej o. Antoni z Kowna, namiętny wróg Polski. Potrafił on sobie zjednać poparcie wybitnego patrioty litewskiego, pana bardzo możnego i wpływowego, Alberta Gasztolda, syna Marcina, który był zdecydowanym przyjacielem polskich bernardynów. Oprócz wspomnianego Gasztolda, zjednał o. Antoni sobie jeszcze paru innych panów litewskich.

Współ z nimi zarzucał pismami i petycjami biskupa wileńskiego, Legata Apostolskiego, a nawet króla Zygmunta i Ojca świętego w Rzymie, z żądaniem oddzielenia klasztorów litewskich od polskich. Sprawa ta wniosła w łono zakonu wiele niepokoju i poróżnień, a najgłośniejszem echem odbiła się w klasztorze wileńskim, który, jako kustodialny i najważniejszy na Litwie, musiał już z samej natury rzeczy stać się głównym terenem tych zatargów.

Na kapitule w Kobylinie (?) w roku 1526 wnieśli zakonnicy litewscy żądanie utworzenia odrębnej prowincji litewskiej, w roku zaś następnym Albert Gasztold wraz z zakonnikami litewskimi, zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o podział dotychczasowej jednolitej prowincji bernardynskiej na dwie odrębne: polską i litewską.

Usilnym zabiegom panów litewskich udało się uzyskać w Rzymie w r. 1530 dekret Klemensa VIII, zarządzający rozdział prowincji na dwie: polską i litewską. Gdy jednak doszło do wyboru pierwszego prowincjała dla Litwy, okazało się że zakonnicy litewscy nie posiadają w swym gronie odpowiedniego kandydata. Powołano tedy na to stanowisko o. Gotarda de Siemiaczyno (?).

Że jednak i na stanowisko kustosza klasztoru wileńskiego brakło również odpowiedniego kandydata, przeto uproszono o. Gotarda, by jednocześnie sprawował obowiązki przełożonego we wspomnianym klasztorze.

Obchód Witoldowy w Kownie.

Uroczystości Witoldowe w Kownie rozpoczęły się w niedzielę 7 b. m. o godzinie 3 popołudniu, otwarciem uporządkowanego prospektu Witolda. Już w sobotę w kilku miejscach prospektu urządzono bramy triumfalne, przyozdabiając je w zieleń, obrazy z podobizną Witolda Wielkiego oraz nadpisy.

Uroczystość otwarcia prospektu odbyła się na placu przed dworcem kolejowym. Wzięli w niej udział przedstawiciele rządu, burmistrz miasta Kowna p. Wilejszys, członkowie zarządu miejskiego oraz rady miejskiej i przedstawiciele prasy. Następnie uformował się pochód, który ruszył w stronę miasta. Przy zbiegu prospektu Witolda z ulicą Piaskową burmistrz Wilejszys zabrał głos i wskazał, iż ulica Piaskowa w myśl uchwały magistratu została nazwana ulicą Grunwaldzką, ku uczczeniu największego czynu w życiu Witolda — zwycięstwa grunwaldzkiego.

Po przemówieniu burmistrza przybito tablicę z nową nazwą ulicy, poczem pochód ruszył na lotnisko w celu wzięcia udziału w powitaniu podobizny Witolda. Tu już na kwadrans przed godziną 5 a uszykowały się w olbrzymie półkole organizacje społeczne, gimnazja oraz organizacje pracowników rządowych ze sztandarami na czele. W środku półkola utworzono szpaler z żołnierzy lotników. W środku szpaleru ustawiono dwa samoloty, zwrócone śmigłami ku sobie. Na końcu szpaleru, w miejscu, gdzie miał wylądować samolot z podobizną Witolda, ustawili się członkowie rządu z premierem Tubelisem na czele, dowództwo lotnictwa wojennego, wyżsi oficerowie armii oraz goście. Na 2 minuty przed godziną 5 a ukazały się 4 samoloty od strony Godlewa, z których jeden od razu wysunął się naprzód i zaczął popoli się zniżać. Punktualnie o godzinie 5-ej samolot dotknął ziemi i po kilku lekkich podskokach zatrzymał się tuż przy końcu szpaleru żołnierskiego.

Podobiznę Witolda przyjął naczelnik lotnictwa wojskowego pułk. Pundzewiczus. Około niego ustawiło się trzech wyższych oficerów lotnictwa, z których jeden ujął księgę pamiątkową ku czci Witolda. Tę księgę obnoszono wraz z podobizną Witolda po całej Litwie. Za podobizną ustawili się oficerowie lotnictwa, dalej członkowie rządu oraz wyżsi urzędnicy cywilni i wojskowi. W ten sposób uszykowany pochód ruszył wzdłuż szpaleru wojskowego w stronę Zamku, przystrojonego w zieleń oraz rzęście oświetlonego. Tutaj nastąpiło drugie w tym dniu uroczyste powitanie podobizny Witolda. Podniosłe przemówienie wygłosił prezes komitetu Witolda minister oświaty inż. Szakenis. Minister Szakenis, na wstępie wskazał, iż zamek kowieński jest miejscem,

skąd Witold rządził całym swym rozległym państwem. Tutaj znakomity władca litewski przy pomocy wiernych sobie bojarów pracował nad utworzeniem różnych traktatów z sąsiadami, oraz zapewnieniem dla Litwy takiego stanowiska międzynarodowego, które wysoko podniosło imię Litwy oraz unieszkodliwiło zakusy wrogów. Litwa wita podobiznę Witolda Wielkiego, powracającego z wędrówki po kraju, podobnie, jak przed 500 laty witali tutaj w kowieńskim zamku swego władcę bojarowie litewscy, wojsko oraz wierny naród. Przykład Witolda — kończył mówca — powinien natchnąć cały naród litewski do ofiarnej pracy, do zaparcia się, do wyrzeczenia się własnego dobra dla dobra ogółu oraz do pracy nad odzyskaniem reszty terytorjum.

Po przemówieniu ministra Szakenisa orkiestra odegrała hymn narodowy, jednocześnie zaś baterja, ustawiona nad Wilją, tuż koło ruin zamku, oddała powitalną salwę armatnią. Przez cały czas uroczystości w powietrzu krążyły samoloty wojenne, dookoła zamku płonęły pochodnie. Po ceremonjach powitalnych, prezes komitetu Witolda inż. Szakenis ujął podobiznę Witolda, tuż za nim stanęli członkowie rządu, wyżsi urzędnicy państwowi, goście oraz publicyści i cały pochód, otoczony z obu stron pochodniami, ruszył w stronę Muzeum Wojennego.

W bramie ogródka przy muzeum wojennym pochód został powitany przez gen. Nagiewiczziusa. Ogródek na przyjęcie udekorowano. U stóp posągu Wolności umieszczono obraz, wyobrażający Witolda w chwili przeprawy na czele wojska przez rzekę. Obraz udekorowano sztandarami wojskowymi oraz rzeźbicie oświetlono. Przed nim ustawili się attachés wojskowi państw zagranicznych oraz goście, wśród których zwracali uwagę oficerowie czechosłowaccy, którzy specjalnie przybyli na uroczystości Witoldowe w celu złożenia wienca na pomniku poległych za wolność. Uroczystości w ogródku muzeum wojennego otworzył gen. Nagiewiczzius okolicznościowym przemówieniem. Zaznaczając wysoki zaszczyt, który przypadł w udziale muzeum wojennemu, mającemu przechowywać przez pewien czas podobiznę Witolda, mówca wskazał, iż dzisiaj, aby przejść całą Litwę z podobizną Witolda, wystarczyłyby nie całe dwa miesiące, tymczasem, aby objechać dawne państwo Witoldowe należałoby zużyć ze dwa lata. Możliwość byli winni, że wielkie idee Witolda poszły na marne. Jedynie lud litewski pozostał wierny swemu językowi oraz tradycjom i on po wiekach wydał ludzi, którzy Litwę z upadku dźwignęli.

Po przemówieniu gen. Nagiewiczziusa chór przy udziale orkiestry odśpiewał kantatę ku czci Witolda, poczem pułkownik Prazulewiczzius odczytał z księgi jubileuszowej uroczystą przysięgę całego narodu, ślubującą, iż do ostatnich sił będzie bronił swego kraju, przedewszystkiem dostępu do morza Bałtyckiego oraz Wilna. Z kolei trzech inwalidów z okresu walk Litwy o niepodległość poniosło podobiznę Witolda Wielkiego ku pomnikowi poległych w walkach o niepodległość. Tutaj w toku przewidzianego ceremonjału, oficerowie czechosłowaccy złożyli wieniec. Następnie podobiznę Witolda Wielkiego odniesiono do Muzeum Wojennego. Na tem zakończył się pierwszy dzień uroczystości.

Dnia 8-go b. m. uroczystości trwały w dalszym ciągu. Zaczęły się one o godzinie 7 rano w ogródku muzeum wojennego, gdzie przy licznie zgromadzonych organizacjach i publiczności odbyło się uroczyste podniesienie sztandaru Witoldowego. O go-

dzinie 10 młodzież szkolna oraz organizacje wzięły udział w solennych nabożeństwach, które się odbyły we wszystkich kościołach. Po mszy św. i odśpiewaniu „Te Deum laudamus”, księża z ambony tłumaczyli wiernym, na czym polegały zasługi Witolda przy wprowadzaniu w Litwie i Żmudzi katolicyzmu. Dla żołnierzy i formacyj wojskowych nabożeństwo odbyło się na placu rewji, dokąd na godzinę 12 podążyły wszystkie organizacje i tłumy publiczności.

Rewja rozpoczęła się punktualnie o godz. 12 przemówieniem prezydenta państwa A. Smetony, który podnosił zasługi i genjusz Witolda. Po przemówieniu prezydenta rozległy się salwy armatnie. Następnie prezydent Smetona w krótkim przemówieniu powitał kompanję Witolda Wielkiego, poczem szef sztabu generalnego gen. Kubilunas rozpoczął rewję.

O godzinie 3 popołudniu w sali ratusza odbyło się uroczyste posiedzenie rady miejskiej. Posiedzenie zagał burmistrz Wilejszys przemówieniem powitalnym, w którym zaznaczył, iż uroczystości dzisiejsze musiałyby odbywać się nie w Kownie, lecz w Wilnie, mieście, gdzie Witold stale przebywał. Niestety, z powodu zagarnięcia przez Polaków Wilna uroczystości wypadło święcić w tymczasowej stolicy Kownie, mieście, gdzie również Witold często przebywał, gdzie na zamku załatwiał ważne sprawy państwowe.

Po skończonem posiedzeniu wszyscy zebrani udali się samochodami do nowozbudowanego gmachu straży ogniowej, gdzie ku czci Witolda wmurowano dwie pamiątkowe tablice. Stąd udano się na poświęcenie dwóch szkół: litewskiej i żydowskiej.

O godzinie 6 wieczorem organizacje ze sztandarami i pochodniami zebrały się przy zamku kowieńskim. Po przemówieniu burmistrza nawołującego do uporządkowania tego miejsca i urzędzenia tu parku Witolda, odbyła się uroczystość opuszczenia sztandaru Witoldowego, poczem sformował się pochód z pochodniami. Na czele pochodu przedstawiono żywe obrazy: na koniach jechały odpowiednio ucharakteryzowane w kostjumach postaci historyczne: Witolda, Biruty oraz rycerstwa średniowiecznego. Pochód przeciągnął Aleją Wolności i udał się na Górę Witolda, gdzie odbyło się przedstawienie misterjum L. Giry „Ziemia Witolda”. Jednocześnie w Teatrze Letnim odbyło się przedstawienie sztuki Majronisa „Wybawienie Witolda” oraz w salach ratusza, Neo-Lithuanii i Atejtininków - koncerty.

O godzinie 9 wieczorem prezydent państwa wydał raut w świeżo ukończonym gmachu sejmu. Na raucie byli obecni członkowie korpusu dyplomatycznego, attachés wojskowi państw zagranicznych, członkowie rządu, wyżsi urzędnicy wojskowi i cywilni, przedstawiciele władz uniwersyteckich, rady miejskiej i zarządu miejskiego oraz redaktorowie naczelni miejscowych pism. Wieczorem miasto było rzeźbicie iluminowane. Mimo jesienno deszczu, który mżył w ciągu całego dnia, tłumy zalegały ulice do późnego wieczora.

Bibliografja.

Pfitzner I. *Grossfürst Witold von Litauen als Staatsmann.* (Schriften der philos. Fakultät der deutsch. Univ. in Prag). Brünn, 1930.

O tej najnowszej monografji niemieckiej wy-

bitny historyk polski prof. Fr. Papée pisze co następuje:

Zdumiewającą jest u tego autora znajomość literatury, której spis obejmuje przeszło arkusz bitego druku, uwzględniając nietylko rzadsze czasopisma (Rocznik heraldyczny, Ziemia), ale także wydawnictwa przygodne, jak Księga Pamiątkowa Balzera, Orzechowicza, W. Zakrzewskiego, tak że bardzo niewiele tylko możnaby dodać uzupełnień. Całość oparta jest o szerokie tło powszechno-dziejowe i geopolityczne i przeprowadzona genetycznie a przeplatana trafnymi uwagami krytycznymi i metodologicznymi.

Przedstawienie autora jest w stosunkach krzyżackich bezstronne, jednak w stosunkach ruskich nie jest dość jasne, a w stosunkach polskich nie jest dość obiektywne. Witold tkwił jeszcze w reminiscencjach wszechruskiego programu Olgierda, nie zdając sobie sprawy ze zmianionych pod tym względem, skutkiem unji z Polską, stosunków. Zaś co do zamiarów Witolda wobec Polski, raz mówi prof. Pfitzner o „Zerreiung”, a drugi raz o „Locherung der Union”. Cóż jest tedy prawdą? — Tylko to ostatnie. Koronacja jeszcze nie jest zerwaniem unji, wszakże ją popierał Jagiełło aż do ostatniej chwili i miał nadzieję przełamać opór Stanów polskich, na podstawie uzyskania korony litewskiej nie z rąk nieprzyjajnych Zygmunta, ale z przyjaznych rąk papieża.

Inne jeszcze zastrzeżenia należy zrobić, nie czyniąc z tego zarzutu autorowi, który tytuł swego dzieła w pewnej mierze ograniczył: „Grossfürst Witold... als Staatsmann”, a więc Witold, jako mąż stanu t. j. głównie w swojej zewnętrznej państwowo-twórczej działalności, z ogólnikiem tylko zaznaczeniem spraw wewnętrznych. Federacyjna postać ówczesnego państwa litewskiego i jej rozbudowa są tu dobrze scharakteryzowane.

Ze tego mógł dokonać autor bez specjalnych studjów, jest to zasługa historyków rosyjskich: Władimirskiego-Budanowa, Downar-Zapolskiego, Łappy, Malinowskiego, Maksimejki, a przede wszystkim M. Lubawskiego z jego podstawowym dziełem: „Obłastnoje dielenje i miestnoje uprawlenie litowsko-ruskiego gosudarstwa” (1892). Jednakże historycy rosyjscy opierali się prawie wyłącznie na metryce litewskiej, do której mieli dostęp bardzo ułatwiony, opuszczając nawet bardzo ważne akty, odnoszące się do stosunków z Polską.

Pokazuje się jednak, że zachowało się poza metryką bardzo wiele osobnych aktów polityki wewnętrznej; drukujący się obecnie w opracowaniu ks. J. Fijałka i prof. W. Semkowicza „Codex diplomaticus dioecesis Vilmensis” jest tego wymownym dowodem. Nie ulega wątpliwości, że dałyby się zebrać i wydać i w innym kierunku podobne materiały. A dopiero po szczegółowym uwzględnieniu całej wewnętrznej działalności Witolda: kościelnej, prawodawczej, administracyjnej, gospodarczej i kulturalnej złoży się wszechstronny obraz dziejowy tej niepospolitej postaci.

KRONIKA.

Mylny punkt wyjścia. Na dzień obchodu Witoldowego w Kownie „Dzień Kowieński” wydał okazały numer, bogato ilustrowany, poświęcony wyłącznie pamięci wielkiego władcy Litwy. Na treść numeru złożył się szereg artykułów

najwybitniejszych historyków polskich, znawców i badaczy średniowiecza, jako to: prof. O. Haleckiego, prof. Fr. Papięgo, prof. L. Kolankowskiego, prof. J. Dąbrowskiego i wielu innych. Zasluguje na podkreślenie zwłaszcza syntetyczny artykuł prof. Haleckiego p. t. „Rocznica Witoldowa”, nader trafnie ujmujący zagadnienie stosunku Witolda do Polski.

Natomiast nie trafia nam do przekonania słowo wstępne redakcji, w którym czytamy na końcu: „To też i społeczeństwo polskie Litwy, pomnie zasług Witolda wielkiego dla kraju oraz tolerancyjności i przychylności Jego dla Polaków, głęboko odczuwa zew jego imienia i składa hold Jego pamięci”.

Słowa te brzmią tak, jakby pochodziły od potomków owych przybyszów z Polski, których Witold faworyzował, ale którzy nie pozostawili po sobie głębszych śladów w dziejach Litwy. Współcześni jednakże Polacy litewscy, w o brzymiej większości są z pochodzenia Litwinami lub Białorusinami, to też w ich stosunku uczuciowym do przeszłości powinna wyraźniej dźwięczeć nuta wspólności krwi ze swymi przodkami, niż wspólności językowej z sąsiednim narodem.

Ludzie Wilna. „Tygodnik Ilustrowany” wydał specjalny numer wileński z okazji otwarcia II Targów Północnych. Ozdobą tego numeru są artykuły pióra p.p. Obsta i Kownackiego... Wśród licznych ilustracji zwracają uwagę portrety „Ludzi Wilna”. Tytuł ten przyznał „Tygodnik Ilustrowany” czterem osobom: wice-wojewodzie Kirtiklisowi, red. Okuliczowi, p. Kownackiemu i... p. B. Wścieklicy. Dlaczego p. Wścieklica jest człowiekiem Wilna — jest to już tajemnicą redakcji tygodnika warszawskiego, a może tylko p. K. Leczyckiego, który kierował doбором materiału do powyższego numeru.

Gdynia a Pińsk. Jaki panuje zamęt w głowach rozmaitych domorosłych naszych działaczy politycznych i społecznych, o tem świadczą może utworzenie się w Pińsku „Chrześcijańskiego Komitetu Wyborczego”, i wydana przezeń odezwa, która nawołuje do zjednoczenia pod hasłem walki z bolszewizmem wszystkich chrześcijan zarówno katolików, jak prawosławnych.

Możnaby jeszcze zrozumieć tego rodzaju odruch nie liczącego się z rzeczywistością idealizmu, gdyby nie ustęp, traktujący o konieczności silnej militarnie Polski, a to z tego powodu, że ma ona „od zachodu sąsiada, pałającego żądzą ponownego zagarnięcia Piastowskiej dzielnicy i Pomorza”. Co ma wspólnego ideologia chrześcijańska z zagadnieniem korytarza Pomorskiego i dostępu Polski do morza? A już szczytem naiwności jest przypuszczać, że prawosławne Poleszuka może pociągnąć hasło obrony „Piastowskiej dzielnicy” przed zakusami germanizmu. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Gdynia, a gdzie Pińsk?

Słowa prawdy. W kronice tygodniowej ostatniego numeru „Wiadomości Literackich” kreśli znany literat p. Antoni Słonimski następujące, nacechowane gryzącym sarkazmem uwagi o obecnych nastrojach i wypadkach w Polsce:

To, co się dzieje w Galicji Wschodniej i we Lwowie przypomina istotnie czasy Katarzyny Wielkiej. Co może sobie myśleć Ukrainiec, czytający słuszne argumenty prasy za rdzenną polskością ludności Pomorza? Czyż te argumenty nie przemawiają mechanicznie za ukraińskością Galicji Wschodniej? Być może, niejedno dawniejsze dziecko z Wrześni, obecnie już zupełnie dorosło do posady polonizatora kresów wschodnich.

Aresztuje się codziennie setki ludzi za „dążenie do obalenia istniejącego ustroju”. Powinno się tych wszystkich ludzi wypuścić na wolność z tej prostej przyczyny, że u nas wogóle niema żadnego ustroju, a więc nie można obalić rzeczy istniejącej. I kto wie czy to nie lepiej, bo przecież gdyby „istniał ustrój”, nie setki ludzi pakowanoby do więzienia ale tysiące. Na tem bowiem polega główna różnica między krajami rządzonymi przy pomocy wielkich haseł a krajami, w których panuje zwykły, chroniczny, więc łagodniejszy, środkowo-europejski obłąd.

Z powodu obłożnej choroby redaktora naszego pisma numer niniejszy wychodzi ze znacznem opóźnieniem, a pod względem treści i układu nie zupełnie odpowiada zamierzeniom redakcji.